

TOMASZ JACHIMEK

HANDLARZE CZASEM



HANDLARZE CZASEM

TOMASZ
JACHIMEK
HANDLARZE CZASEM

Wydawnictwo nie ponosi odpowiedzialności
za nieumiejętne wykorzystanie treści
zamieszczonych w książce.

Ilustracje
Henryk Sawka

Redaktor prowadzący
Monika Koch

Redakcja
Edyta Domańska

Redakcja techniczna
Małgorzata Juźwik

Korekta
Ewa Grabowska
Jadwiga Przeczek

Copyright © by Tomasz Jachimek, 2010

Copyright © by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2010

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2010

Świat Książki
Warszawa 2010

Świat Książki Sp. z o.o.
02-786 Warszawa, ul. Rosoła 10

***Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego.
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie
do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu.
Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim,
nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie,
upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych
lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.***

ISBN 978-83-247-2187-0

Nr 45036

Spis treści

Rozdział 1	Gry i wynalazki	7
Rozdział 2	Historia Rafała Poranka	61
Rozdział 3	Zwycięstwa i porażki	85
Rozdział 4	Historia Pauliny	141
Rozdział 5	Dziennikarze i reportaże	167
Rozdział 6	Historia Grzesia	219
Rozdział 7	Juniorzy i seniorzy	245
Rozdział 8	Historia starych Mańczaków	281
Rozdział 9	Podsumowania i pożegnania	307



GRY I WYNALAZKI

Wszystkie rodzinne quizy wygrywał wuj Franciszek. W cuglach. Co niedziela koło południa wtarabaniał się na wózku do salonu i – tonem ni zarządcy, ni wodzireja – ogłaszał wszem wobec:

– No to teraz się sprawdzimy! Będzie quiz!

Wyciągał starannie przygotowane arkusze z pytaniami, wkładał jedyną marynarkę (tak, tak, tę popielatą, która była modna w szczytowym okresie kariery Mieczysława Fogga), sprzątał ze stołu wszelkie szpargały mogące utrudnić przebieg rozgrywki i poganiał zawodników:

– No, co jest?! Długo mam czekać? Będzie quiz! Trzeba się sprawdzić!

Grażyna odchodziła od niedzielnego rosołu, Piotr odkładał gazetę i oboje marzyli o wylosowaniu na tyle trudnych pytań, aby odpaść w pierwszej rundzie. Tylko dzieciarnia się cieszyła, ale radość trwała krótko, do końca pierwszej rundy właśnie, bo wuj Franciszek nie stosował wobec juniorów taryfy ulgowej i młódź pytania dostawała jak wszyscy.

Z kolei babce Wiktorii najbliższa była idea barona Pierre'a de Coubertina, w myśl której nie zwycięstwo się liczy, ale ważny jest sam udział. Wyniki i rankingi były babce Wiktorii dalece obojętne, na wszystkie pytania z historii odpowiadała: „marszałek Piłsudski”, z mitologii: „Zeus” albo „Atena”, zaś w pozostałych kategoriach decydowała się albo na wariant: „Jan Paweł II”, albo też: „nie wiem”. Taktyka nie była wcale taka głupia, bo raz babka była trzecia.

Godnej konkurencji wuj Franciszek nie miał właściwie żadnej. Nie dawał się zagiąć ani na literaturze, ani na fizyce kwantowej, ani na popularnych piosenkarzach, ani na wielkich odkryciach geograficznych. Nawet kiedy wylosował makabrycznie trudne pytanie o strzelców bramek dla Polski w olimpijskim półfinale z Australią w 1992 roku i wszyscy zastęgli w pełnym nadziei oczekiwaniu, że chociaż raz się mądrała omnibus wyłoży, wuj Franciszek jedynie podgrzał atmosferę odpowiedniej długości pauzą, po czym z wyrachowaną, sadystyczną wręcz złośliwością wyrecytował:

– Juskowiak – trzy, Kowalczyk – dwie, i jedna samobójcza. A mecz skończył się wynikiem sześć do jednego.

No i weź tu, człowieku, zakwestionuj mądrości wuja Franka!

Nie bez znaczenia dla przebiegu i wyników rodzinnych quizów był fakt, że wuj Franciszek był jedynym autorem wszystkich pytań, tym samym jedynym jurorem autorytatywnie rozstrzygającym wszelkie

wątpliwości. Co gorsza, wyniki quizów stanowiły dla wuja legitymację do wtrącania się we wszelkie domowe sprawy i upoważniały go – w jego mniemaniu – do wypowiedania się na wszelkie możliwe tematy. Jakakolwiek próba dyskusji czy polemiki nie miała sensu. Kiedy wuj Franciszek czuł, że spór może się dla niego skończyć kompromitacją, sięgał po żelazny argument:

– Jakbyś był taki mądry, tobyś chociaż raz ze mną w quizie rodzinnym wygrał!

Była też druga, niemal identyczna opcja:

– Ty w niedzielę podczas quizu bądź taki wygadany, to będziemy sobie mogli podyskutować jak równy z równym! – Dzięki banalnemu chwytowi retorycznemu wujowi Franciszkowi wydawało się, że rację ma zawsze i w każdym zagadnieniu.

Piotra brała jasna cholera i nieraz próbował wpłynąć na Grażynę, aby zakazała urządzania jakichkolwiek quizów.

– Zrób tak, kochanie, żeby jedyną grą towarzyską w tym domu były bierki. Ewentualnie makao – szeptał żonie do ucha, jednocześnie delikatnie podgryzając jej szyję, bo przy użyciu tej techniki perswazyjno-erotycznej wielokrotnie udawało mu się namówić Grażynę do najbardziej nawet szalonych pomysłów. Jednak w kwestii gier i wuja Franciszka małżonka była nieprzejednana.

– Te quizy to jego jedyna radość. Jak ja mogę mu ich zakazać? – krzywiła się Grażyna. – Przecież to kaleska jest.

– Wiem, że kaleka, ale nie o kalectwo tu chodzi. Ja mu nie każę ganiać na sto metrów przez płotki. O quizy chodzi, a nawet nie tyle o głupie quizy, ile o wymądrzanie się, że skoro wygrał, to we wszystkim trzeba mu ustępować!

– To raz z nim wygraj i będzie po sprawie. – Grażyna znajdowała salomonowe rozwiązanie i konflikt na jakiś czas udawało się zażegnać.

Ba! Piotr próbował nieraz, ale wygrać niedzielny quiz z wujem Franciszkiem to jak wybrać się podczas urlopu w Himalaje na poszukiwanie yeti albo wyzwać na trzy sety Rafaela Nadala. Szanse żadne, a ryzyko ośmieszenia przeogromne. Jak Piotr wyczuł się ciekawostek geograficznych, to odpadał na rodzajach chińskich patelni; jak wykuł chińskie patelnie, to ginął na twórczości Krzysztofa Krawczyka, a nawet kiedy przemógł się i z wyraźną niechęcią posłuchał kilku Krawczykowych dokonań artystycznych, to następnej niedzieli gwoździem do trumny okazywały się wróżbiarstwo i astrologia.

Po takiej rozgrywce, jakby mu było mało, wuj Franciszek potrafił protekcyjnie poklepać Piotra po ramieniu i rzucić kwestię w stylu:

– No, Piotrek, dziś walczyłeś jak lew, ale musisz jeszcze trochę poczytać! Musisz jeszcze więcej poczytać!

Piotra ponownie brała jasna cholera, ponownie negocjował z Grażyną wprowadzenie oficjalnego zakazu organizowania quizów i ponownie słyszał, że dla wuja Franciszka niedzielne zawody to jedyna

radość. Jedyne, co potrafił wskórać, to złośliwe uwagi Grażyny, która gratulując Frankowi, namawiała go jednocześnie do występu w telewizji.

– Jeszcze byś jakieś pieniądze zarobił. Tu się wy-mądrzasz, a powinieneś na Woronicza pojechać, sprawdzić się z zawodowcami od quizów. Co to za radość słabszych od siebie non stop ogrywać?

Jednak wuj Franciszek, jak utrzymywał, nie miał parcia na szkło.

– Małpy medialnej to wy ze mnie nie zrobicie. Ja mam wiedzę nie po to, żeby błaznować przed kamerami, ale żeby mądrym być, ot co!

Takiej okazji do riposty w żaden sposób nie mógł zmarnować Piotr.

– Aha, boisz się, że już w eliminacjach byś odpadł...

– Ty w niedzielę podczas quizu bądź taki mądry, taki wygadany, to będziemy sobie mogli pogadać jak równy z równym! – przejmował inicjatywę wuj Franciszek i dyskusja błyskawicznie dobiegała końca. Wuj, w glorii niepokonanego intelektualisty, każdym ruchem i gestem dawał wyraz nieskończonej pogardzie, jaką żywił dla umysłowego ubóstwa najbliższej rodziny, po czym zjeżdżał do swojego – jak go określał – warsztatu. W śmiertelnej obrazie trwał jakieś pół godziny, wtedy bowiem Grażyna stawiała na stole niedzielny obiad, i owszem – obraza obrazą, ale żołądek swoje prawa ma i się go obrazą, nawet najślusniejszą, w żaden sposób nie zapelni. Dlatego wujo Franciszek jako człowiek mądry

chował ją do kieszeni i ze wszystkimi pałaszował rosół z makaronem.

– Grażynko, coś wyjątkowo dużo soli w tej zupie. Zakochałaś się czy jak? – atakował, bo i krytykiem kulinarnym był wykwinnym. Na tyle wykwinnym, że jeszcze potrafił sobie dokładkę przesolonego rosółu zamówić, aby tylko sądów pochopnych nie wydawać.

– Jak nie smakuje, to nie jedz. A już przynajmniej dokładek nie bierz – bronił honoru gospodyni Piotr.

– Smakuje! Jak najbardziej smakuje! Kto powiedział, że mi nie smakuje?! Ja uwielbiam przesolone zupy. Jakby jeszcze makaron nie był rozgotowany, to już w ogóle ten rosół byłby dotykaniem absolutu – brnął wuj Franciszek.

– To może w następną niedzielę ty, Franek, obiad ugotujesz, co? – ze spokojnym uśmiechem pytała Grażyna.

– A niby kto wtedy by quiz przygotował?! – oburzał się wuj i był to wzorcowy przykład świętego oburzenia. – Jakbyście naprawdę tacy mądrzy byli, to chociaż raz byście mnie w quizie ograli.

Jednak prawdziwy ekspert kuchenny, co prawda, tylko teoretyczny, ale zawsze, budził się w nim przy drugim daniu. Nawet ziemniaki nie były pozostawione bez oceny.

– Czy już doprawdy tak nisko upadliśmy, żeby podczas niedzielnego obiadu podawać do stołu purée? – Wuj mlasnął, otarł tłuszcz z brody i kontynuował: – A te schaboszczaki naprawdę by nie

ucierpiał, gdyby z pięć minut dłużej na patelni po-
leżały. No, a jakim cudem ze słodkich mirabelek mo-
że wyjść kwaśny kompot, to ja się w życiu nie do-
wiem!

Ponarzekawszy na przypalony sernik, kazał sobie
odłożyć trzy kawałki na wieczór, po czym – poleca-
jąc jeszcze wszystkim trening przed przyszłotygo-
dniowym quizem – na dobre zjeżdżał do warsztatu.

Niedzielne quizy wuja Franciszka właściwie zmono-
polizowały sferę rodzinnych gier i zabaw towarzy-
skich. A trochę szkoda, bo na przykład babka Wik-
toria była skończoną arcymistrzynią domina. Jakiś
niewyobrażalny talent, wrodzony geniusz kazał jej
losować właściwe płytki. Brakowało mydełka – cią-
nęła z woreczka mydełko; brakowało trójki – z puli
wyciągała płytkę z trójką. We wszystkich rozgrywa-
nych w życiu partiach może ze trzy razy pauzowała
przez kolejkę. W domino rozkładała wszystkich bez
wyjątku.

Urodziła się, traf chciał, 1 września 1939 roku –
wyjątkowo mało wesoły czas dla noworodków
(zresztą zdecydowanej większości data wyjątkowo
wrednie się kojarzy) – i jakby dla ironicznej pocie-
chy los obdarzył babkę Wiktorię fenomenalnymi
zdolnościami do gry w domino. Ba! Śmiało można
nawet zaryzykować tezę, że gdyby domino było dys-
cypliną olimpijską, to babka Wiktoria od dawna

mieściłaby się w panteonie sportowych sław obok Szewińskiej i Kusocińskiego. Gdyby domino było grą hazardową, to dziś babka Wiktoria dostawiała by złote płytki na diamentowy stół, zaś cała rzecz rozgrywałaby się w okolicach Las Vegas. Niestety, ani sława, ani kosmiczne pieniądze babce „Dominatorce” Wiktorii nie groziły, zatem pozostało jej tylko ogrywanie wnuków, bo innych chętnych do rywalizacji – czemu trudno się specjalnie dziwić – brakowało.

Zresztą te gry z wnukami były dla babki Wiktorii swoistą mordęgą. Robiła wszystko, aby choć raz przegrać, popełniała gigantyczne błędy taktyczne, wystawiała rywalom brakujące płytki – wszystko na nic. Fenomenalny dar ogrywania wszystkich w domino okazał się być jej przekleństwem. Dzieciaki znały, rzecz jasna, rodzinną legendę, że babka Wiktoria to światowej klasy hegemon układania płytek domina, tym bardziej więc chciały – choćby w imię zasady „bij mistrza” – zmierzyć się z potęgą. Perspektywa była kusząca, bo do końca życia chodziłyby w aureoli tych, którzy zdetronizowali arcymistrzynię. Cierpliwości starczało na trzy partie, potem były sześćoletnie łzy, dramaty i rozpacz.

Grażyna i Piotr przytulali Hanię i Michasia, tłumacząc, że oni też zawsze – jeśli idzie o domino – ostro brali w tyłek od babki Wiktorii i nie ma co się przejmować, bo z Dominatorką nikt nie wygra. Najbardziej cierpiała sama babka Wiktoria – z jednej strony zakochana we wnukach po uszy, z drugiej z sady-